Tom VI. Nr. 16.

1. Czerwca 1862.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

August drugi, król polski.

III. Smutne czasy.

Kiedy już ze Szwedem rzecz skończono, a Leszczyński z tronu się ustąpił, zdawało się, że trwały pokój na długo do ziemi polskiej zawita; lecz gdzie tam! Zepsucie obyczajów między ludźmi było już podonczas wielkie: na próżniactwo i pijatykę każdy rozpasany myślał tylko o swoim maćku i o swojem garle, a jak pies o piątą nogę dbał dopiero o dobro i całość ojczyzny. Gdyby też to jeszcze jaki król tęgi na tronie był zasiadł, jaki Chrobry lub Batory, to możeby mu się było udało poskromić rozpustę i w jaki taki ład znowu wszystko wprowadzić: ale taki Sas August znienawidzony od wielu, nie mógł temu dać rady ni złym ni dobrym sposobem, bo niejednemu wygodnie było rybki w mętnej wodzie łowić, a inni z kieliszkiem w ręku rozwalali się po ławach krzycząc:

— Za króla Sasa, jedz i pij a popuszczaj pasa!

Leszczyński tymczasem siedział u Turka i namawiał go, żeby mu pomógł do odebrania tronu. Nie pytał on tam, że

z obcym na własny kraj napadać, dla własnej pychy tylko, to zbrodnia niesłychana, bo mu się chciało gwałtem królować, chociażby i po trupach iść na to królestwo. I kto wie coby się było stało, gdyby nie to, że Turek, już sobie nieraz palce sparzywszy, dmuchał teraz na zimne i nie dał się namówić. Ale August zasłyszawszy o tej całej sprawie tak sobie pomyślał:

— No, kto wie, czy Leszczyński na kraj nie napadnie; trzeba się więc zabezpieczyć i swoich Sasów sprowadzić. A choćby i spokój był od strony tureckiej, to mi się zdadzą Sasi do zaprowadzenia porządku we własnem królestwie, bo już tak trudno dłużej wytrzymać.

I mówiąc na wszystkie strony, że złych zamiarów Turka strzedz się należy, wprowadził znowu August wielką siłę swojego wojska Saskiego do Polski. A gdy Turek nie napadał a Sasi na piękne się rozgaszczali, zmiarkowała dopiero szlachta, że to król nie Turka lecz ją powściągać zamierza, i oburzyła się tem niezmiernie. Jakoż posyłali do Augusta prosząc, żeby swoim Niemcom precz z Polski wyjść rozkazał, bo tylko łupieztw, gwałtów i kradzieży na ludziach się dopuszczają. Ale król nic na to: wszystkich posłów z kwitkiem odprawiał Sasów nie poskramiając, co jużci niegodziwie z jego strony było, bo cóż mi to za król, co zamiast ojcem być dla poddanych, rabusiów na nich nasyła. Wprawdzie rozpustą i kłótniami zawinili ci poddani, ale czyż na takich nie ma już innego sposobu jak gwałty publiczne i łupież? Koniec końców nie mogła ścierpieć szlachta samowoli onych Niemców królewskich, zbiegła się z wielkim krzykiem i pogróżkami do miasteczka *Tarnogrodu* w Lubelskiem, i dalejże radzić. Radzili i zawiązali się wreszcie w konfederacją przeciwko grasującym Sasom: jaki taki siadał na koń, zmawiał się z wiejskim ludem i gromadą uderzali na Niemca, który najwięcej stał po obu brzegach Wisły, a tak zapalczywie, że w kilku dniach padło ich około trzech tysięcy. W kilku miejscach odrazu rozpoczęła się ta bijatyka, a Sasowie znikali jak kamfora. Trwało tak całe dwa lata; więc król widząc, że to nie żarty, przypomniał sobie na swą dawną przyjaźń i pchnął posła do cara moskiewskiego,

prosząc go o pomoc w tej sprawie. A było to wielką niegodziwością ze strony Augusta, bo jakże to być może, żeby król na własnych poddanych obcego ciemięzcę z wojskami przyzywał. Ale były to już wtedy takie czasy smutne, że się wszystko rozprzęgało: jeden drugiego słuchać nie chciał, jeden drugiemu stał na zdradzie, więc musiało przyjść do tego, żeby cudzoziemiec ład między nami zaprowadzał. A gdy i to nie wróciło upamiętania grzesznikom, spuścił Pan Bóg jeszcze straszniejsze plagi, dla których nam teraz niejedną łzę gorzką połykać przychodzi!

Rozpoczęły się więc targi między konfederacją i królem. król zrazu bardzo na układy łatwy, robił się coraz twardszym, w miarę jak go posłuchy dochodziły, że mu car wojsko gotuje; ale konfederaci nie chcieli nowego krwi rozlewu na już i tak skołataną ojczyznę sprowadzać, więc skończyli z królem jako tako, i choć tyle na swoim postawili, że reszta Saskiego wojska wymaszerowała het za granice Polski.

Lecz Moskal i tak wmięszał się w tę całą sprawę, i wprawdzie wojsk jeszcze nie wprowadził, ale przez posły i listy godził naród z królem, zamiast coby nasi na jakim sejmie sami się godzić mieli. Ale gdzie tam o sejmie mogła być mowa, kiedy takie się prawo do sejmów było zakradło, że jak choćby jeden szlachcic krzyknął: — Nie pozwalam — to już nie można było w brew jego woli uczynić. Tym sposobem trudno było jakąkolwiek sprawę porządnie przeprowadzić: wszystko upadało, bo jeśli kto nie chciał czego to krzyczał i zrywał sejmy, i nie mogło przyjść do nijakiego porozumienia. Owóż i za króla Augusta zrywano ciągle sejmy, aż nareszcie przyszło do jednego, gdzie za wpływem Moskwy postanowiono ilość wojska w kraju znacznie zmniejszyć.

— Dobrze, niech będzie mniej wojska! — wołała szlachta godząc się na tę zmianę — My i tak nie mamy z czego wojska utrzymywać.

A Moskal ręce już w tem umaczawszy, mówił sobie z cicha:

— Dobrze bratkowie, przystawajcie, a jak nie będzie wojska żeby was broniło, to ja dopiero wpadnę i wszystkich za łeb wezmę! — Tedy sam naród niechęcią swoją pomagał sznur

*

sobie kręcić na szyję. A król August coraz bardziej nie dbał o królestwo, owszem wyjeżdżał często do swojej ojczyzny Saksonji, naradzając się tam z nieprzyjaciołmi Polski, jakby tu po swojej śmierci syna na polskim tronie osadzić, po kawałku królestwa im za to obiecując. I tak na tem, niby w pokoju a w ciągłem nieporządku, na hulankach i przy zupełnej nietroskliwości o dobro ojczyzny, ubiegło lat kilkanaście. Aż w roku 1733, kiedy August ze Saksonji do Warszawy na sejm wyruszył, zaniemógł wielce po drodze, i przyjechawszy do Warszawy Bogu ducha oddał.

Została więc znowu Polska bez króla, a jako karczma dla podróżnych, na złość i chciwość sąsiadów otworem stojąca, kłótnią i rozpustą w domu zajęta, a więc bezsilna i upadająca. I widział Pan Bóg jako miły sercu jemu naród na złe drogi schodzić zaczyna, i umyśliwszy karać go i do pokuty nakłaniać, postawił mu jeszcze ku opiece Matkę Przenajświętszą w sławnej Częstochowie, którą właśnie za panowania Augusta drugiego w roku 1717 na królowę Polską ukoronowano. Więc w późniejszych ciężkich chwilach mogła przynajmniej Polska zanosić modły i westchnienia do Boga przez tę Orędowniczkę świętą, wołając: Matko Chrystusa, królowo Polska, zmiłuj się nad nami!

Kochaj bracie swą zagrodę!

Kochaj bracie swą zagrodę,
Gdzieś ujrzał to słońce,
Gdzieś przepędził latka młode
Jak pączek na płonce;
Niech ci będzie zawsze miła
Strzecha domu tego,
Gdzie cię matka nauczyła
Pacierza świętego.

Kochaj bracie wszystko nasze,
Bo to dla cię chwałą,
Cała Polska twe poddasze,
Więc ją kochaj całą;
Jak to słońce świeci jasno,
Tak Bóg rozkazuje:
— Niech każdy jak matkę własną
Ziemię swą miłuje.

Kto swej ziemi nie ma w cenie,
Gorszy jest niż zwierze,
Bo i zwierz swoje schronienie
Miłuje i strzeże.

A więc bracie jak Bóg żywy
Polskę kochać trzeba:
Kto nie kocha swojskiej niwy,
Nie dostąpi nieba! —

D. Z.

WIECZORNICA.

Uczciwym był i roztropnym człowiekiem Walenty, gospodarz z Młynowa, i żona jego Barbara uczciwą też i bardzo roztropną była kobietą. Żyli oni ze sobą w największej zgodzie, sąsiadom nie dawali zgorszenia, dzieci chowali w pobożności i uczciwości, a dla wszystkich ludzi mieli serca szczere i otwarte. A chociaż już oboje nie byli młodymi, umieli się przecie i zabawić i rozmówić nie tylko ze starym człowiekiem, ale i z dzieckiem, umieli każdemu poradzić, każdego pocieszyć. Dla tego też ze sąsiedztwa Walentego i Barbary, czy we święto czy w powszednie dnie wieczorami, czy zimą czy latem, i starzy i młodzi, wszyscy ciągnęli do ich chałupy, bo też Walenty i Barbara każdemu a każdemu byli całem sercem radzi, czcili oni bowiem bardzo gościa, obyczajem dawnych ojców naszych, których pamięci niech Bóg błogosławi. Najmilszemi zaś już były dla wszystkich wieczornice spędzane w chałupie Walentego i Barbary. Po tych to wieczornicach, gdy się naschodziło i starych i młodych, a wszyscy obsiedli z robotą komin, Walenty to sam opowiadał rozmaite powieści, których wiedział bardzo wiele, to innych do nich zachęcał, a przy tych opowieściach i przy robocie wieczór zimowy schodził tak, żeś się ani spostrzegł; każdy zaś nietylko że miał zabawę, ale i nauki odnosił ztąd nie mało.

Tak też i przeszłej zimy, jednego wieczora, naschodziło się do chałupy Walentego i Barbary starych i młodych z robotą nie mało. Ogień się żwawo palił na kominku, a każdy zajął się już pilnie robotą, kiedy się odezwał Walenty:

— No! i któż nam dziś opowie najpierwszy cośkolwiek ku zabawie i nauce? Boć co prawda to prawda, że się przy opowieści i raźniej pracuje i przędzie sporzej, a i piękniej prawie.

— Jużci byśmy najbardziej woleli, żebyście Wy zaczęli sami — odezwało się kilka głosów razem. A dwa z nich dołożyły jeszcze: — Gdyż nam się bardzo podobają Wasze powieści.

— Żeby to jeno tak starczyło człeku bez końca — odrzekł Walenty. — Aleć się przebierze i w studni woda, a cóż się nie ma przebrać opowieści w pamięci. Niechże też każde z Was sięgnie do pamięci swojej i niech też każde z niej co wydobędzie; wtedy nie zabraknie jednemu, a będzie i zabawy więcej i więcej też nauki.

Zamyśleli się wszyscy zgromadzeni, aż po chwili Jagna Szymonowa przerywając milczenie ozwała się najpierwsza:

— Wiem ci ja opowieść jedną, co mi ją opowiadała nieboszczka Starka, kiedym jeszcze była bardzo mała. Ale nie wiem, czyby Wam się podobała wszystkim, bo może nie taka piękna jak inne.

— Zaczynasz zwyczajnie jak wstydliwa dziewka — odrzekł Walenty — która się pierwej tak i inaczej wymawia, nim przyjdzie do rzeczy. Nie wadzić tak czynić, gdzie słuchają ludzie coby się wyśmiali z poczciwej prostoty, ale pomiędzy nami nie potrzeba. Tu każdy słucha w myśli uczciwej, żeby się zabawił i pouczył, a nie żeby się wyśmiał, gdy mu się co nie spodoba. Więc śmiało dzieweczko zaczynaj twoją opowieść.

Jagusia wyprostowała się, spojrzała śmielej w około, krząknęła parę razy, potem puściła wrzeciono na izbę i znowu je do siebie zwabiła, a zwijając na nie przędzę tak opowiadać poczęła:

— Była razu jednego biedna, bardzo biedna kobieta. Jeszcze dosyć młoda a już drugiego miała męża, pierwszy albowiem bardzo uczciwy człowiek umarł jej w rok po weselu, a rodzice przynaglili ją przez gwałt za drugiego, którego ona nie kochała i kochać nie mogła, raz dla pamięci na nieboszczyka, któremu ślubowała wiarę aż do śmierci; a drugi raz, że był to bardzo twardego serca i niezbożny człowiek. Płakała więc bardzo często owa kobiecina, a nie miała inszej na świecie pociechy, jeno nadzieję w Panu Bogu, którego miłowała nad wszystko, i córkę jedyną Bietkę, którą jej dał Pan Bóg przed śmiercią nieboszczyka.

Jeszcze była Bietka maleńka, kiedy jednego dnia zachorowała bardzo ciężko jej matka, a zawoławszy do siebie Bietkę tak do niej rzekła: „Już mnie woła Pan Bóg do siebie i do ojca twojego, już iść muszę a ciebie pozostawić na ziemi sierotą. Aleć ten Bóg dobry co mnie woła, jest też ojcem sierot, nie opuści więc i ciebie, jeno pamiętaj na niego w każdej chwili i czyń dobrze, a nie szukaj chwały z żadnego dobrego uczynku.

Ledwie co tych słów domówiła biedna kobieta, i już zamknęła oczy. Płakała Bietka okrutnie, płakała we dnie i w nocy, bo już teraz prawdziwą była sierotą bez ojca i bez matki; a płacząc, codzień modliła się do Boga we łzach i żałobie.

Trwało tak niedługo, a oto wielkie nieszczęście spotkało Bietkę, bo dostała złą macochę. Ta macocha poniewierała nią okrutnie, biła, głodziła, a nie dawała jej na odzienie jeno podarte gałgany. Biedna sierotka płakała jeszcze bardziej i już tak zmizerniała, że jeno patrzali ludzie rychło pójdzie za matką do grobu.

Było tak dnia jednego, że macocha sponiewierała jeszcze bardziej jak zawsze sierotkę biedną, a sponiewierawszy ją okrutnie, wyrzuciła za drzwi i kazała jej iść w świat gdzie jej się podoba.

Wyszła Bietka w pole i patrzała na niebo, a niebo śliczne było pełne światła i pełne obłoków jasnych i mówiła Bietka: „Śliczny jesteś Boże i niebo twoje, w którem mieszka matka moja, bardzo jest piękne. Niech ci będzie chwała na wieki.“ I wejrzała Bietka na ziemię a ziemia była pełna zieleniącego się zboża i pełna kwiatów, i mówiła Bietka: „Dobry jesteś Boże, wszystko dajesz ziemi i ludziom co przez nią wędrują, i chleb i kwiaty i wszystko co żywi i rozwesela człowieka.“

A potem spojrzała Bietka po sobie i przypomniała jej się macocha i tak rzekła do siebie w sercu swojem: „Wszystkiego dał Pan Bóg dostatkiem, żeby mieli ludzie, żeby się mieli czem pocieszać na ziemi, a ludzie poniewierają jeden drugiego, bo nie pamiętają na dobroć Boga.“

I poczęła Bietka płakać okrutnie, płakała i płakała, aż jej się oczy zaćmiły. A płacząc myślała o matce swej umie-

rającej i przypomniały jej się słowa nieboszczki matki, która tak do niej mówiła: „Pamiętaj na Boga w każdej chwili i czyń dobrze, a nie szukaj chwały z uczynków twoich.“

„Mój Boże“ mówiła Bietka w sercu swojem „któżby nie pamiętał na ciebie, kiedy na co człowiek jeno wejrzy, wszystko to jest z twojej dobroci! Ale ja biedna sierota komuż bym miała dobrze czynić, kiedy sama nic nie mam?“ A gdy te słowa wymówiła w sercu swojem Bietka, odezwał się do niej jakby głos matki tak przemawiając: „I najbiedniejsza sierota dobrze czynić może.“

Zamyśliła się Bietka na te słowa i tak sobie pomyślała u siebie: „O mój Boże mój Boże, czemuż ja jeszcze nic dobrego nie uczyniłam, kiedy i sierota dobrze może czynić! I poczęła znowu płakać rzewliwie, płakała i płakała, a nie płakała już ani na poniewierkę, ani na głód, ani na podarte suknie, jeno płakała, że jeszcze nic dobrego nie uczyniła na świecie.

Potem powstała Bietka i szła przez pole idąc coraz dalej, a myśląc tak u siebie: „Może mi się też zdarzy, że potrafię co dobrego uczynić.“

Kiedy już tak uszła duży kawał drogi, patrzy, a tu leży na ziemi ptaszek i wygląda gdyby postrzelony, skrzydełka mu obwisły i ledwie się rusza. Podniosła Bietka ptaszka i dalejże na niego chuchać, i chucha i chucha aż ptaszek ożył i począł trzepotać skrzydełkami. Wtedy podniosła Bietka ptaszka w górę i posadziła go na drzewie, a on posiedział chwilkę, potem począł próbować skrzydełek, nareście podleciał w górę i latał z gałązki na gałązkę, z drzewa na drzewo. A Bietka stała i patrzała na ptaszka i cieszyła się nim i chwaliła Boga mówiąc: „Dobry jesteś ty mój Boże, coś mi dał oddech, który ptaszka ożywił.“ I dziękując tak Bogu, o sobie zapomniała Bietka, że dobrze uczyniła.

Szła potem dalej Bietka, idzie i idzie a środkiem łąki płynie strumyk jasny, jakby się wiła srebrna wstążeczka; a Bietka patrzy w strumyk i przysłuchuje mu się jak on mruczy, a tak jej się zdawało jakby to matka jej nieboszczka jakieś pocieszające mówiła do niej słowa. Aż ujrzy, że w jednem miejscu kamień duży zawalił strumyk i nie dał mu dalej pły-

nąć swobodnie i mruczyć mile po kamykach. Biedny strumyk przedzierał się jeno gwałtem z tej i owej strony koło kamieni.

„Poczekaj biedny strumyku,“ mówiła Bietka i podkasawszy spodniczki, weszła do wody i dźwigała, dźwigała, aż wydźwignęła kamień co zawadzał strumykowi. Płynął znowu strumyk swobodnie i mruczał po kamykach, a Bietka przypatrywała mu się i cieszyła i chwaliła Boga mówiąc: „Dobry jesteś Boże, coś mi dał ręce żebym niemi mogła wydźwignąć kamień ze strumyka.“ I dziękując tak Bogu, o sobie zapomniała Bietka, że dobrze uczyniła.

Szła potem znowu dalej Bietka, i spojrzy a oto krzak osuty różami stoi na brzegu łąki, a biedne różyczki pochylają główki i krzaczek zwiędły prawie całkiem też się pochyla ku ziemi. Słońce bowiem dokuczało okrutnie, a deszcz już dawno nie odwilżył i krzaczka i kwiatków.

„Poczekaj biedny krzaczku“ mówiła Bietka i pobiegła do strumyka, nabrała w obie rączki wody, przyniosła i wylała pod krzaczek. I tak wciąż nosiła wodę i powracała po inną, aż dopóki nie naniosła tyle, że jej dosyć było dla biednej krzewiny. A że miała Bietka małe ręce, musiała się więc bardzo nachodzić i bardzo się też zmęczyła nim skończyła tę robotę. Żeby tedy sobie wypocząć, położyła się pod krzaczkiem na ziemi; aleć się ledwie spostrzegła, a już ją sen zmorzył.

Było już precz ku wieczorowi kiedy się obudziła Bietka, wejrzy, a krzaczek na nią spogląda wesoło jakoby odmłodniały, różyczki uśmiechają się jakby się odrodziły. I wstała Bietka i patrzała na krzaczek, cieszyła się nim i chwaliła Boga mówiąc: „Dobry ty jesteś Boże, coś dał źródełku wody do podlania krzaczka.“ A dziękując tak Bogu, o sobie zapomniała Bietka, że dobrze uczyniła.

I chciała jeszcze Bietka dłużej chodzić po polu a patrzeć gdzieby mogła dobrze uczynić, ale jej się okrutnie jeść chciało. Więc umyśliła sobie iść do domu i tak sobie mówiła znowu do siebie: „Może Bóg dobry przemienił serce macochy i serce ojczyma, i nic mi się złego nie stanie.“

Jak tylko weszła Bietka do domu, rozgniewana macocha przypadła do niej z drewnem i poczęła jej grozić, a Bietka

nic nie mówiła jeno stała cichutko a łzy jej płynęły, a ona się modliła po cichu do Boga. A jej twarz była zmieniona przez sen pod krzaczkiem, więc gdy na nią spojrzała macocha, zdało jej się, że to anioł i nie śmiała jej uderzyć, jeno rzuciła drewno na ziemię. Ale ojczym rozgniewany przypadł, porwał drewno i jak niem uderzył sierotkę w głowę, tak od razu upadła nieżywa.

Ujrzawszy ojczym co uczynił, przeląkł się okrutnie, bo i onemu się teraz zdawało, że Bietka przemieniła się w anioła zmarłego. Więc począł wyrzekać okrutnie i macocha też z nim wyrzekała, i oboje ani się utulić nie mogli od płaczu. A tak płacząc podnieśli Bietkę ze ziemi, ubrali ją w bielutką sukienkę i położyli ją na łóżeczku. I leżała Bietka blada a piękna gdyby anioł, a ojczym i macocha siedzieli koło niej i wylewali łzy gorzkie i mówili pomiędzy sobą: „O gdybyć też Bóg miłościwy obudził raz jeszcze to dziecko ze snu śmierci, jużbyśmy mu nic złego nie czynili i jużby od nas nie doznawało nigdy krzywdy.“

Tak wyrzekał ojczym i wyrzekała macocha Bietki aż do samej północy. A gdy wybiła północ, otworzyły się same drzwi od izby i wleciał ptaszek i zawiesił się nad głową umarłej sierotki i zaczął trzepotać skrzydełkami, trzepotał i trzepotał i przyganiał wiatr do sierotki. A ona otrzeźwiła się, otworzyła oczy i gdy ujrzała ptaszka, chciała pochwalić głosem Boga ale nie mogła, więc jeno w myśli tak chwaliła Boga: „Dobry ty jesteś Boże coś dał skrzydła ptaszkowi, który mnie obudził ze snu ciężkiego“ a potem pomyślała o ptaszku co do niej przyleciał i modliła się znowu tak w myśli do Boga:

„Pobłogosław Panie Boże dobremu ptaszkowi co ma pamięć na sierotkę.“ A o sobie, co uczyniła ptaszkowi, już nic nie pamiętała.

Gdy tę modlitwę ukończyła sierotka, wyleciał ptaszek, a przez otwarte drzwi wpłynął do izby strumyk i wił się i wił gdyby srebrna wstążeczka, aż przyszedł do łóżka, na którem leżała sierotka. I wszedł do niej i zaczął jej myć twarzyczkę i chłodził ją i trzeźwił aż odzyskała mowę. A wtedy poczęła sierotka chwalić tak Boga: „Dobry ty jesteś Boże, coś stwo-

rzył strumyk, który mnie orzeźwił i oddał mi mowę, żebym cię mogła pochwalić" a potem pomyślała o dobroci strumyka co do niej przypłynął i tak się modliła: „Pobłogosław Panie Boże strumykowi dobremu, co ma pamięć na biedną sierotkę." A o sobie, co uczyniła strumykowi, już nic nie pamiętała.

Gdy tę modlitwę ukończyła sierotka, wypłynął strumyk napowrót z izby, a przez otwarte drzwi poczęły wlatywać różyczki i wleciało ich dwanaście. I wszystkie poleciały nad głowę sierotki i strząsały rumieniec czerwony z listków na twarzyczkę jej bladą, aż się zarumieniła zdrowiem twarz sierotki. A wtedy Bietka zdrowa i rumiana powstała z łóżka i tak chwaliła Boga:

„Dobry jesteś ty Boże, coś stworzył różyczki, które mi powróciły zdrowie, żebym mogła dobrze czynić jak mnie uczyła matka moja" a potem pomyślała o dobroci różyczek co do niej przyleciały i tak się modliła: „Pobłogosław Panie Boże różyczkom, co miały pamięć o biednej sierocie." A o sobie, co uczyniła różyczkom, już nic nie pamiętała.

Gdy tę trzecią modlitwę odmówiła sierotka, wyleciały różyczki, drzwi się zawarły, a sierotka zdrowa i rumiana stała przed ojczymem i przed macochą w bielutkiej sukience i była podobną do anioła. A ojczym i macocha patrzyli na nią i dziwili się tym wszystkim cudom, a potem oboje poczęli ściskać sierotkę i obiecali jej, że już nigdy nad nią wymyślać ani jej prześladować nie będą. Wtedy sierotka upadła na kolana i tak chwaliła Boga: „Dobry jesteś ty Boże, co pamiętasz na sieroty a nie opuszczasz tych, co mają w tobie nadzieję." A wspomniawszy na dobroć ojczyma i macochy, z którą ją przyciskali do serca, tak się modliła: „Pobłogosław Panie Boże ojczymowi mojemu i macosze mojej, co mają pamięć na biedną sierotkę." A o tem, co jej uczynili złego, już nic nie pamiętała.

A gdy tę ostatnią modlitwę wymówiła sierotka rozjaśniało się koło niej, i otoczona jasnością niebieską stanęła przed nią Matka Boska i tak do niej przemówiła: „Błogosławieni są, którzy czynią dobrze tym, co im nic złego nie uczynili, ale kto zapomniał złego co mu je wyrządził zły człowiek, a on dobrze mu za nie czyni, tysiąc kroć jest błogosławiony. I ty dziecię moje coś więcej czyniło jak cię nauczyła matka, błogosławioną

jesteś tysiąckroć.“ — Wymówiwszy te słowa zniknęło widzenie, jeno twarz sierotki rozjaśniała się jeszcze bardziej, tak że patrząc na nią i ojczym i macocha łzy rzewne wylewali ze żalu, że takie piękne, a błogosławione przez Boga samego dziecko poniewierali tak okrutnie. A sierotka też płakała z nimi ale z radości, że znalazła zastępców ojca i matki. Nie poniewierali też odtąd sierotki ani ojczym ani macocha, a znowu Bietka co jeno im z oczów wypatrzeć mogła to wszystko czyniła, pracowała, wyręczała ich we wszystkiem w czem jeno mogła. A pamiętna zawsze na słowa umierającej matki, w każdej chwili pamiętała na Boga, a czyniła zawsze dobrze czy to człowiekowi, czy ptaszkowi, a choćby i robaczkowi najmniejszemu, to źle nie uczyniła jeno dobrze. A ile razy jeno zdarzyło się uczynić co dobrego, zawsze chwaliła dobrego Boga, co jej dał życie żeby dobrze czynić mogła, a zaś o sobie, że uczyniła dobrze, nie pomyślała nigdy. I żyła tak Bietka lat wiele, bardzo wiele, a powiadają ludzie, że przed śmiercią jej przyśli święci aniołowie i zanieśli ją żywą do nieba, do matki i do Pana Boga.—

Gdy Jagna ukończyła swoją powieść, wszyscy słuchacze zamyśleni milczeli przez chwilę, każdy rozważał w sercu swojem co usłyszał, a dopiero po długiej chwili przerwał znowu milczenie Walenty temi słowy:

— Dobrześ widno Jagusiu spamiętała opowieść Starki, znać ci przypadła do serca, a to chwalebnie, boć ona świętą zawiera w sobie naukę, jako jeno ten człowiek prawdziwie dobrze czyni, który nie szuka chwały z dobrego uczynku. A jest ci to świętą prawdą. Bo jeżeli ty czynisz dobrze dla samej nagrody, to czynisz jeno jako najemnik, a nie jako człowiek stworzony na podobieństwo boże. Wiedziałać o tem matka sieroty, kiedy jej mówiła: „Czyń dobrze, a nie szukaj chwały z uczynków twoich.“

— A czyliż to ta powieść prawdziwa? — zapytała Błażejowa.

— Myśli są w niej prawdziwe sąsiado moja — odpowiedział Walenty — a wszystko inne zastosowane jest do tych myśli, co je miał ten, który tę powieść wymyślił i ułożył, albo może napisał wedle życia jakiej dobrej sierotki. A chciał on

zapewne przez nią wyrazić, że uczciwe serce zachowuje w pamięci co mu się dobrego uczyni, a kiedy może to się odwdzięczy, jak uczynił strumyk i ptaszek i różyczki; a znowu też chciał powiedzieć, że człowiek co czyni dobrze ze szczerej i serdecznej myśli, nagrody nie oczekuje za swój uczynek: bo on ledwo co dobrze uczynił, a już zapomniał o tem, jak oto ta sierotka. —

— Co znowu mnie — poczęła stara Małgorzata kuma Barbary — to już mi się najbardziej podobało, jak tam tej sierocie zagadało coś do serca, że i najbiedniejsza sierota może dobrze uczynić. I zaraz się też pokazało, że to prawda. Mój Boże! A tu nie jeden, co nie jest sierotą, jeno aby tyle, że nie ma wielkich skarbów, a już nie chce uczynić najmniejszej rzeczy dla bliźniego, jeno się zawsze tem zastawia, że sam nie ma. Jak żeby i biedny nie mógł uczynić wiele dla jeszcze biedniejszego. Przydarzy się nawet nieraz, że nie potrzeba koniecznie pieniędzy, żeby pomódz bliźniemu, jeno się aby schylić, żeby mu pomódz, jak ta sierotka biedna róży i strumieniowi i ptaszkowi uczyniła, ale nieuczynny człowiek i od tego się uchyla; drogi nawet pokazać podróżnemu, to mu się nie chce, a dobrej rady w strapieniu, w chorobie, darmo byś szukał u niego. A równo ludzie tacy nieuczynni zwą się chrześcijanami, nie wiedzieć od czego, chyba od tego krzyża świętego, co się nim żegnają. Mój Boże! nie wiedzą ci oni chyba, że sobie Pan Bóg za nic waży chwałę bez dobrych uczynków ku bliźnim, i że darmo ten Pana Boga chwali, kto w obec ludzi nie jest szczery w miłości. Chciałabym żeby ci ludzie słyszeli wszyscy opowieść Jagusi, a dowiedzieliby się, że i sierotkę dopiero wtedy umiłował Pan Bóg, kiedy zrozumiała słowa matki o dobrych uczynkach i kiedy wedle nich żyć zaczęła.

— Dobrze mówicie miła kumo — odpowiedział znowu Walenty — że byłoby dobrze, gdyby zrozumieli tę naukę wszyscy ludzie, i żeby w czystości serca wedle niej sobie zawsze postępowali.

Gdy te słowa wymówił Walenty, zamyślił się bardzo i wszyscy milczeli, i słychać było tylko świerszcza w ścianie i furczenie wrzecion w rękach pilnych prządek.

Pisanie od Walka Bartnika z nad Obry, względem środków na ukąszenie pszczoły.

(Do „Szkółki niedzielnej", co ją w Poznańskiem poczciwi ludzie drukują, nadeszło niedawno niniejsze pisanie, które, że w niem jest zawarte jak sobie z pszczołami poczynać żeby nie kąsały, i dla czytelników Dzwonka nie zawadzi.)

Niech się jegomość nie gniewa na mnie, że się ośmielam do niego pisać i o wydrukowanie tego mojego pisma w Szkółce prosić. Prawda, że to pisanie nie osobliwe, ale jegomość wybaczy prostemu człowiekowi, co to do szkół wysokich nie chodził. — Jeszcze chłopcem będąc lubiłem bardzo pszczoły, ale mię raz tak wykarały, żem później od nich stronił jak od złego ducha. Moi rodzice mieli dość pszczół, ale się niemi tylko matka trudniła, bo ojca to tak nie cierpiały, że im się na oczy nie mógł pokazać. Raz się uwiązał rój wysoko na gruszce, ale ich matka dosięgnąć nie mogła, więc zawołała mnie i mówiła: Walek, obwiąż się chustką, wnijdź na gruszkę i strząśnij mi te pszczoły. Ja też zrobiłem co mi matka kazała. Ale cóż! jak mię też pszczoły na gruszce nie obsiędą, jak mi nie zaczną walić się to w rękawy, to za kołnierz, to dziś już nie wiem jakem ze strachu z gruszki zleciał. Uciekłem w krzaki, pszczoły za mną... hyc na ogród w perki, pszczoły za mną... i tak mię pożądliły, żem spuchł jak beczka, a i oślepł jak kret, a matka to ledwo nie pękła z żalu, bo myślała, że już po mnie: i odtąd bałem się bardziej pszczół, jak djabeł święconej wody. Nie dziw więc żaden, że kiedym się dostał na swoje, bardzom się namyślał, czy sobie pszczoły nabyć, czy nie.

Dopiero gdym się od tej przebrzydłej gorzałki odpisał, gdym się dowiedział, że miodek to zdrowy i staropolski napój, nabyłem też pszczoły i mam ich z łaski Pana Boga dosyć. Ale ile razy z początku do pszczół szedłem, tom się tak poowijał, że się aż moja Kaśka ze mnie śmiała, i babakiem na rozsadę mię nazywała, a to jest bardzo dobra kobieta, ale okrutnie rezolutna. Więc to mię korciło, bo też sobie byle komu w kaszę dmuchać nie pozwolę, że mię tchórzem nazwała dla tego, iż się pszczół boję. Więc łamałem sobie głowę jakby to zrobić, żeby mię pszczoły nie żądliły, a gdy użądlą, jakby

puchlinie zapobiedz. Pytałem się tego i owego bartnika, to mi każdy co innego radził, a kiedym im powiadał, że mi nic nie pomaga, to oni odpowiadali, że jednemu pomaga to, drugiemu owo, bo nie każdy ma równe ciało. Najwięcej podobała mi się ta rada, żeby liśćmi ziela pocierać, bo to miałem zawsze pod ręką, bo moja Kaśka nie tylko o drobiu ale i o zielu w ogrodzie pamięta. Próbowałem z każdego ziela po kolei, i uważałem, które mi najbardziej pomoże. Zerwałem też raz ziele, które miało białawo - czerwone i żółte pachnięce kwiaty, a nazywa się jerychońska róża. Nasz ogrodowy nazywa ją *kapryfolią*. Sok tego ziela bardzo mi pomagał, bo i ból uśmierzał, i puchlinę spędzał.

Później łamałem sobie głowę, jakby to zrobić, żeby się bez owijania obyć, aby mię moja Kaśka tchórzem nie nazywała, ale wszystko napróżno. Dopiero przed rokiem, kiedym miód podbierał, owalała mi się przypadkiem prawa ręka miodem, a pszczoły chodziły po niej, i ani jedna mię nie użądliła, a w lewą rękę, która nie była miodem obwalana, to aż zanadto. Oho! pomyślałem sobie, na drugi raz to i ręce i twarz posmaruję miodem, i zobaczę, czy mię jeszcze Kaśka nazwie tchórzem. I tak zrobiłem. Więc widzi jegomość, że mam wyborne lekarstwo, bo mię żadna pszczoła odtąd nie użądliła. Ale cóż po tem! kiedy moja Kaśka znów gdyrała, że miód marnuję. Żeby i temu zapobiedz, przybieram teraz do jednej części miodu dwie części wody, i taką wodą miodową zawsze kiedy przy pszczołach robię, twarz i ręce myję, ale nie obcieram. Odtąd pszczoły dają mi spokój, a jeźli z niemi czasem nieostrożnie się obejdę, i która mię użądli, to mam w buteleczce przysposobiony sok z jagód jerychońskiej róży, i po prędkiem wydobyciu żądła ranę tym sokiem zapuszczam, a od niego i ból i puchlina prędko ustaje.

Oto widzi kochany jegomościnek, jak sobie postępuję, i jeżeli to jegomość uważa za dobre, to proszę to moje pisanie kazać wydrukować, a poźniej jak o pszczołach co mądrego się dowiem lub sam doświadczę, to jegomości znów napiszę. A tymczasem bądź jegomość zdrów!

RÓŻNOŚCI.

Dowcipna odpowiedź. Było to za rządów *Augusta Sasa*, właśnie w czasie łupiezkiego napadu Szwedów na Polskę, gdy raz szedł sobie gospodarz wielkopolski wzdłuż jeziora Gopła, i spotkał niespodzianie całą gromadę żołnierzy.

— Stój, kto ty? — wołają żołnierze.

— Ot, biedny chłop sobie — odrzeknie gospodarz pokornie.

— A z kim ty trzymasz, ze Sasem czy ze Szwedem? — pytają znowu tamci.

Gospodarz poskrobał się w głowę, bo nie wiedział co nato odpowiedzieć, nie miarkując po żołnierzach z kim oni trzymają. Powiedzieć za Sasem — źle, a nuż oni za Szwedem, to zbiją lub zabiją; powiedzieć za Szwedem — także źle, a nuż oni za Sasem to znowu skóra w robocie. Nie chciał też wreszcie poczciwy człek kłamać, bo to obraza boska, zaś Bogiem a prawdą ani Szweda ani Sasa jako wrogów ojczyzny nie cierpiał serdecznie.

— Mówże drabie z kim trzymasz! — wołają żołnierze obstępując go — bo my cię tu inaczej nauczymy gadać!

Widzi chłop że nie przelewki, więc westchnął do Boga i tak się odezwie, wskazując na Gopło:

— Dałby pan Bóg, żeby się Szwedzka strona stała mlekiem jak to oto jezioro, a Saska strona chlebem, i żeby diabeł ów chleb do tego mleka wdrobił i wyjadł wielką łyżką wszystko co do kropli.

Słuchają żołnierze tej odpowiedzi i zmiarkowali, że to znaczy innemi słowami, żeby i Sasów i Szwedów diabli z Polski jak najprędzej wzięli; a że byli sami Polakami, więc się zawstydzili że służą jednemu z wrogów ojczyzny, i puścili na wolność dowcipnego gospodarza.

Myśli.

Ten jest człowiekiem mądrym, kto o sobie mało rozumie, sam na siebie surowy, a względem drugich wyrozumiałe; kto ma zawsze oko na siebie, a do cudzych postępków się nie wtrąca, kto pierw się namyśli, nim co powie lub zrobi.

Słowa są jak lekarstwa, które wtenczas pomagają, gdy ich z umiarkowaniem zażywamy; — ale szkodzą, jeżeli niemi zbytkujemy.

Siedzi dziecko na bryle śniegu, i chełpi się z wyniesienia swego. Słońce przygrzało, i dziecko upada w błoto. Tak samo dzieje się z pysznymi ludźmi.

Nie wstydź się pracy bo praca nie upadla; ale wstydź się próżnowania. W ogóle wszystko to, co nie jest występkiem, nikogo upadlać nie może. Przeto wstydź się jedynie tylko grzechu.

Wydawca odpowiedzialny za redakcją: E. Winiarz.